



Córka CARYCY

ELLEN ALPSTEN

Przełożyła
Daria Kuczyńska-Szymała

MARGINESY

The Tsarina's Daughter

COPYRIGHT © Ellen Alpsten, 2021

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Daria Kuczyńska-Szymala
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2023

*Twój koniec oznacza twój początek. Żaden mężczyzna
nie rozczaruje cię tak jak kobieta. Przemówi do ciebie anioł.
Najlżejszy ciężar będzie dla ciebie największym obciążeniem.*

przepowiednia z wąwozu Gołosow

Rodzina Elżbiety

- Elżbieta Piotrowna Romanowa (Lizeńka), córka cara Piotra Wielkiego i Katarzyny I
- Aleksy Michajłowicz Romanow, car Wszechrusi, drugi car z dynastii Romanowów; dziadek Elżbiety
- Piotr Wielki, car Wszechrusi, znany także jako Piotr Aleksiejewicz Romanow, batuszka car, Piotr I; ojciec Elżbiety
- Katarzyna Aleksiejewna, dawna służąca, najpierw kochanka, a potem żona Piotra Wielkiego, później caryca Wszechrusi Katarzyna I; matka Elżbiety
- Eudokia Łopuchina, pierwsza żona Piotra Wielkiego, była caryca Wszechrusi; matka carewiczka Aleksego
- carewicz Aleksy, syn Eudokii i Piotra Wielkiego, jego prawowity dziedzic; przyrodni brat Elżbiety
- Piotr Aleksiejewicz Romanow (Pietruszka), syn Aleksego i Szarloty Krystyny, później car Piotr II; bratanek Elżbiety
- Anna Piotrowna Romanowa (Anuszka), córka Piotra Wielkiego i Katarzyny I; siostra Elżbiety i matka Karola Piotra
- Karol, książę Holsztynu, mąż Anny Piotrowny; ojciec Karola Piotra regentka Zofia, przyrodnia siostra Piotra Wielkiego; ciotka Elżbiety
- car Iwan V, przyrodni brat Piotra Wielkiego; stryj Elżbiety
- caryca Praskowia Iwanowna Sałtykowa (Pasza), wdowa po Iwanie; stryjenna Elżbiety
- carówna Katarzyna Iwanowna, córka cara Iwana V; stryjeczna siostra Elżbiety
- Karol Leopold, książę Meklemburgii, mąż carówny Katarzyny Iwanowny i ojciec Krystyny, regentki Wszechrusi Anny Leopoldowny
- Krystyna, właściwie Elżbieta Katarzyna Krystyna, księżniczka Meklemburgii, córka Katarzyny Iwanowny, potem adoptowana przez carycę Annę I i mianowana księżniczką koronną – cesarzówną, regentka Wszechrusi Anna Leopoldowna; kuzynka Elżbiety
- Antoni, książę Brunszwiku, mąż regentki Anny Leopoldowny; ojciec cara Iwana VI
- car Iwan VI, Iwan Antonowicz, malutki syn regentki Anny Leopoldowny; prawnuk stryja Elżbiety
- carówna Anna Iwanowna, córka cara Iwana V, księżna Kurlandii, potem caryca Wszechrusi Anna I; stryjeczna siostra Elżbiety
- książę Kurlandii, mąż carówny Anny Iwanowny
- August, książę Holsztynu, kuzyn Karola, księcia Holsztynu; narzeczony Elżbiety Piotrowny

Rosyjski dwór carski

książę Aleksander Daniłowicz Mienszykow, generał armii Piotra Wielkiego i jego zaufany przyjaciel, zwany także Alekaszą
księżniczka Maria Mienszykowa, córka Mienszykowa i naręczona cara Piotra II

Teofan Prokopowicz, arcybiskup Nowogrodu, spowiednik i doradca Piotra Wielkiego, Katarzyny I i Elżbiety Piotrowny

książę Aleksy Grigorijewicz Dołgoruki, ojciec chrzestny Piotra Aleksiejewicza Romanowa (Piotra II)

księżna Katia Aleksiejewna Dołgoruka, córka księcia Aleksego Dołgorukiego, później naręczona Piotra II

hrabia Piotr Andriejewicz Tolstoj, dworzanin i zaufany Piotra Wielkiego i Katarzyny I

Aleksander Borysowicz Buturlin, oficer pułku preobrażeńskiego, kochanek i zwolennik Elżbiety Piotrowny

Ernst Biren, hrabia de Biron*, stajenny, znany także jako de Biron, książę Kurlandii, regent Rosji; kochanek i doradca Anny I

Małgorzata** de Biron, żona Birona, księżna Kurlandii

Karol, Piotr i Jadwiga de Biron, dzieci Birona

generał Uszakow, szef Tajnego Urzędu Śledczego

Maja, służąca u Iwanowien

porucznik Siemion Mordwinow, marynarz, który przekazuje korespondencję między Anuszką i Lizeńką

książę Artemiusz Wołyński, rosyjski ambasador w Persji

książę Antioch Kantemir z Mołdowy, rosyjski ambasador w Londynie

Europa

August Mocny, elektor saski, sojusznik Piotra Wielkiego i król Polski

król Szwecji Karol XII, wróg Piotra w wielkiej wojnie północnej

król Francji Ludwik XV

Maria Leszczyńska, córka Stanisława Leszczyńskiego, króla Polski, księżniczka polska; żona Ludwika XV i królowa Francji

Jean-Jacques de Campredon, francuski ambasador w Rosji

książę de Liria, hiszpański ambasador w Rosji

* Właściwie Ernest Jan von Bühren (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Właściwe imiona: Benigna Gottlieba.

Jan d'Acosta, portugalski Żyd, błazen Piotra Wielkiego, Katarzyny I,
Piotra II, Anny I i wreszcie Elżbiety
Jakob Schwartz, austriacki szpieg, wiolonczelista, nauczyciel muzyki
i tańca
Jean-Armand de Lestocq, francuski arystokrata; lekarz Elżbiety
Andriej Iwanowicz, hrabia Ostermann, właściwie Heinrich Johann Frie-
drich Ostermann, kanclerz i wicekanclerz Piotra Wielkiego, Kata-
rzyny I, Anny I i regentki Anny Leopoldowny
Liebman, Żyd i nadworny jubiler carycy Anny I
hrabia Moritz Karl von Lynar, poseł saski i kochanek regentki Anny
Leopoldowny
Julia (Julianna) von Mengden, inflancka baronowa, siostrzenica Os-
termanna; carska piastunka Iwana VI i kochanka regentki Anny
Leopoldowny
hrabia Alessandro Melissimo, austriacki dyplomata, narzeczonny Katii
Dołgorukiej
To-Szi, przywódca chińskiego poselstwa

Kołomienskoje

Illinczaja, piastunka Anuszek i Lizeńki

Ławra Peczerska

przeorysza Agata, przyjaciółka Katarzyny I
Aleksiej Razum/Razumowski, ukraiński pasterz i solista Carskiego Chóru
Anny I; kochanek Elżbiety

Pałac Zimowy, dzień św. Mikołaja, 6 grudnia 1741 roku

MÓJ MALUTKI KUZYN IWAN jest niewinny – jest rocznym dzieckiem i nie może być niczemu winien. Lecz dziś, na mój rozkaz, car niemowlę zostanie uznany za winnego zarzucanych mu czynów.

Tłumie przemożną chęć, by porwać go na ręce i ucałować, ale to tylko pogorszyłoby sprawę. Za drzwiami jego komnaty słychać niski, brzęczący dźwięk, jakby rozłozszczone pszczoły chciały zaatakować Pałac Zimowy. Żołnierskie buty szurają i tupią. Ostrogi pobrzękują niczym kieliszki do wódki, a bagnety są mocowane na muszkietach. To preludium tego, co nastąpi. Ta myśl napęłnia moje serce przerażeniem.

Nie ma wyboru. Albo Iwan, albo ja. Tylko jedno z nas może władać Rosją, a drugie zostanie skazane na śmierć za życia. Prawo do rządzenia Rosją trzeba nie tylko odziedziczyć, trzeba sobie na nie również zasłużyć. On i moja kuzynka, regentka, skażą kraj na wieczne pozostawanie pod obcym jarzmem. Pod ich rządami imperium upadnie, niewidzialna święta więź łącząca cara i jego lud zostanie nieodwracalnie zerwana.

Ja, Elżbieta, jestem jedynym dzieckiem, które przeżyło spośród piętnastu synów i córek Piotra Wielkiego. Tego wieczoru, jeśli będę zwlekać zbyt długo, mogę zginąć jako ostatnia z rodzeństwa.

„Niech będą przekłęci Romanowowie!” Z trudem staram się wyrzucić z myśli przepowiednię, która od zawsze rujnuje mi życie. Na parkiecie tworzą się kałuże, kiedy błoto z moich sięgających ud butów topnieje. Ich znoszona skóra przesiąkła podczas szybkiej jazdy przez Sankt Petersburg. Choć jestem koronowaną księżniczką – carówną Elżbietą Piotrowną Romanową – żaden lokaj nie okrył mych kolan niedźwiedzią skórą dla ochrony przed lodowatym wiatrem i padającym śniegiem, kiedy siedziałam w saniach. Nie miałam mufki, którą mogłabym osłonić twarz tym szczególnym, bardzo wdzięcznym gestem petersburskich dam. Moja pospieszna podróż na spotkanie z przeznaczeniem była tajna: śnieg skrywał migoczące światła latarni, kładąc się całunem na mieście. Kierował mną śmiertelny strach, gdy pędziłam przez mosty, unikałam strzeżonych szlabanów

i przemykałam ukradkiem przez puste prospekty, zostawiając za sobą ślad ciepła w mroźnym powietrzu.

To była noc pamiętnych decyzji, z którymi będę musiała żyć do śmierci. Namaszczonego i koronowanego cara nie wolno zabić, nawet jeśli zostaje zdetronizowany, bo to ustanowiłoby niebezpieczny precedens. Nie może też żyć – a przynajmniej nie może istnieć w głowach rosyjskiego ludu czy też w treści dyplomatycznych biuletynów rozsyłanych po całej Europie.

W takim razie co stanie się z chłopcem?

Czuję wiotką rączkę Iwana. I po prostu nie mogę się oprzeć – nigdy nie mogłam – i pocieram nosem jego pulchne, różowe paluszki, które nadal są za małe, by utrzymać carską pieczęć. Nazywamy tę zabawę pocałunkiem motyla. Śmieje się przy tym zawsze i piszczy, a mnie ogarnia czułość. Chłonę jego zapach, aromat talku wyrabianego wyłącznie dla niego we francuskim Grasse – wanilia i bergamotka, perfumy cara – starając się zapamiętać go na resztę życia. Mężczyźni na zewnątrz się uciszają. Czekają na decyzję, która jednocześnie mnie zbawi i przyniesie mi potępienie. Ta myśl rozdziera mi duszę.

W komnacie Iwana podszyte jedwabiem francuskie zasłony z adamaszku są zaciągnięte. Grube i ciężkie chmury przesłaniają grudniowe gwiazdy i cieniutki księżyc, spowijając ten czas gęstą, przerażającą ciemnością. Za dnia okrzyki mew zamarzają im w dziobach. Chłód nocy zdaje się drapać skórę do krwi. Źródła światła są w Sankt Petersburgu równie trudno dostępne i drogie jak wszystko inne. Sklepy ze świecami, gdzie pachnie pszczelim woskiem, lnem i siarką, przeżywają obłężenie z powodu zbliżających się Bożego Narodzenia, Nowego Roku i święta Trzech Króli. Na nabrzeżu po drugiej stronie rzeki okiennice gładkich fasad miejskich pałaców i kamienic są pozamykane, a okna za nimi ciemne. Pogrążone są w tej samej ponurej ciszy co Pałac Zimowy. Jestem w domu mojego ojca, ale to nie znaczy, że jestem bezpieczna. Wręcz przeciwnie. Liczne korytarze Pałacu Zimowego, setki jego komnat i tuziny klatek schodowych są przytulne niczym ramiona kochanka, a jednocześnie niebezpieczne jak gniazdo żmij.

Iwan albo ja: los bezlitośnie doprowadził nas do tej chwili. Dworzanie mnie unikają: nikt nie postawiłby kopiejki na moją przyszłość. Czy zostanę zesłana do odległego klasztoru, choć nie ma we mnie nic z zakonnicy, jak to pamiętnie stwierdził hiszpański poseł, ksiązę de Liria? Zostałam kiedyś zmuszona, by odwiedzić taką nieszczęsną kobietę w jej celi. Cel osiągnięto: jej widok wzbudził we mnie lęk, który będzie mi towarzyszył do końca życia. Jej ogolona czaszka pokryta była pęcherzami, a w oczach lśniło szaleństwo. Garbata karlica, której wyrwano język, była jej jedyną towarzyszką. Zagrzebywały się w zgnilej słomie niczym prosięta w chlewie. A może czekały mnie sanie jadące prosto na Syberię? Wiem, co oznacza taka podróż bez powrotu: słyszałam krzyki, widziałam strach i czułam przerażenie skazanych na zsyłkę winowajców, czy to prostych chłopów, czy najlepszych przyjaciół cara. Nie wytrzymywali nawet roku w okrutnych warunkach na wschodzie. A może pochłonie mnie ciemna cela w Bastionie Trubeckiego – miejscu, którego nikt nie opuszcza cało? A może będzie prościej i skończę twarzą do dołu w Newie, dryfując pomiędzy grubymi bryłami kry, które będą miażdżyć moje ciało i rwać je na kawałki?

Niecierpliwość żołnierzy jest niemal namacalna. Jeszcze tylko jeden wdech! Piastunka Iwana śpi, pochylona na taborecie pośród jego zabawek: rozrzuconych części matrioszki, drewnianych łódek, mechanicznego srebrnego niedźwiedzia, który otwiera paszczę i unosi łapy, gdy się go nakręci, oraz globusa inkrustowanego kością słoniową z Indii i belgijską emalią. Błada pierś mamki jest nadal odsłonięta po ostatnim karmieniu. Wybrano ją w hałaśliwej niemieckiej dzielnicy w Moskwie z powodu obfitego, alabastrowego biustu. Iwan ma dobrą opiekę: u Romanowów mężczyźni są słabsi od kobiet, choć nikt nie odważyłby się tego powiedzieć. Celebrowałam pierwszy rok jego życia jako okres cudu, podarowałam mojemu kuzynowi z okazji jego chrztu krzyż wysadzany rubinami i szmaragdami, podarunek godny cara, i zadłużyłam się z powodu karego źrebaka, który czekał w moich stajniach jako prezent dla niego na święta.

Oddech Iwana się pogłębia. Obecność pułku pod jego drzwiami kładzie się cieniem na jego snach. Kiedy przykładam dłonie do jego boków, czuję w palcach ciepło, które rozlewa mi się w sercu. Och, przytulić go raz jeszcze, poczuć ten cudowny ciężar w ramionach. Cofam ręce, składam je, choć czas na modlitwy już minął. Żadna pielgrzymka nie uwolni mnie od tego grzechu, nawet gdybym przeszła całą Rosję na kolanach. Iwan trzepocze rzęsami, porusza policzkiem, mlaska różowymi, lśniącymi usteczkami. Nie mogę patrzeć, jak płacze, choć rosyjscy chłopci twierdzą, że „cudze łzy to tylko woda”.

„Najlżejszy ciężar będzie dla ciebie największym obciążeniem”. Ostatnia przepowiednia zaraz się spełni. Oszczędź mnie – błagam w duchu, ale wiem, że to jest moja droga i że muszę nią przejść do końca, po kawałkach swego rozbitego serca. Iwan znów zasypia; długie ciemne rzęsy rzucają cień na krągłe policzki, a małe piąstki otwierają się, odsłaniając gładkie, różowe wnętrza. Ten widok mnie rani. Nawet najzdolniejszy wróżbiarz nie odgadłby, co los ma w zanadru dla Iwana. Staram się nie kończyć tej myśli.

Za drzwiami panuje całkowita cisza. Czy to cisza przed burzą, która niepokoiła ojca, kiedy żeglowaliśmy po stalowych wodach Zatoki Fińskiej? Jego flota kołysała się na kotwicach w oddali, maszty wznosiły się niczym morski las. „To już na zawsze będzie Rosja – oznajmił z dumą. – Żaden Romanow nigdy nie podda tego, co zdobyto rosyjską krwią”. By wzmocnić Rosję, ojciec nikogo nie oszczędzał. Mój starszy przyrodni brat Aleksy, jego syn i dziedzic, zapłacił najwyższą cenę za to, że wątpił w ścieżkę postępu imperium.

Zbliżają się czyjeś kroki. Mój czas z Iwanem i życie, jakie znaliśmy, dobiegają końca. Wolałabym, żeby to nie było konieczne. Ktoś puka do komnaty, to symboliczne skrobanie knykci po drewnie, tak delikatne, że zaprzecza swemu celowi. Pora na działanie. Rosja nie zniesie już żadnych wymówek. Nerwy żołnierzy są napięte jak sprężyny w pułapce na niedźwiedzie. Obiecałam im cały świat: w taką noc jak ta zostają przypieczętowane losy i zdobywa się lub traci fortuny.

– Elżbieto Piotrowna Romanowa? – słyszę, że zwraca się do mnie kapitan carskiego pułku preobrażeńskiego.

Trzymałam do chrztu jego syna, ale czy mogę mu całkowicie zaufać? Mam wrażenie, że tonę, i osłaniam kołyskę Iwana swoim ciałem. W obramowanych złotem lustrach dostrzegam, że moja twarz unosi się widmowo ponad zielenią żołnierskiej kurtki. Popielatoblond loki wysunęły mi się spod futrzanej czapki. Na prostym rzemieniu na szyi wisi wysadzana diamentami ikona świętego Mikołaja, która jest dla mnie bezcenna. Będą mnie musieli zabić, zanim mi ją zerwą.

Mam prawie trzydzieści dwa lata. Tego wieczoru dochowam wierności swojej krwi.

– Jestem gotowa – odpowiadam drżącym głosem i staram się zapanować nad sobą, gdy drzwi gwałtownie się otwierają i do komnaty wpadają żołnierze.

„Wszystko ma swoją cenę”.

POJECHALIŚMY DO PAŁACU MATKI W KOŁOMIENSKIM, jak zawsze kiedy potrzebowaliśmy bezpieczeństwa, pociechy i siły. Odkąd umarł mój starszy przyrodni brat, carewicz Aleksy, matka starała się dać ojcu, carowi Wszechrusi Piotrowi Wielkiemu, dziedzica największego i najbogatszego państwa świata. Kilka tygodni przed naszym wyjazdem urodziła kolejnego martwego synka.

Z ulgą opuszczałam Sankt Petersburg tuż przed Wielkanocą: ledwo znałam przyrodniego brata, bo Aleksy był ode mnie starszy o osiemnaście lat. Bardziej przygnębiało mnie nieszczęście matki. Mimo wszystko uczciliśmy Wielkanoc, najradośniejsze i najświętsze z rosyjskich świąt, wręczając jak zwykle pisan-ki wszystkim dworzanom i ciesząc się razem z nimi: Chrystus zmartwychwstał! Sami nie tknęliśmy nawet talerzy, tylko patrzyliśmy, jak częstują się kuliczem* i paschą z twarogu, migdałów i suszonych owoców.

Kiedy wyszłam z Pałacu Zimowego niedługo po wschodzie słońca, wciągnęłam do płuc chłodne wiosenne powietrze, starając się zapomnieć o długich, dusznych i ciemnych zimowych miesiącach i o atmosferze smutku i lęku, która nadal panowała we wnętrzu pałacu. Ranek, który wsunął się między dzień i noc łagodnie niczym skrzydło gołębia, zapowiadał już letnie wschody słońca mglistymi barwami fiołkowego różu, żółci i macicy perłowej. *Ottiepiel*, czyli wielka odwilż, rozpoczęła się i poranki łagodniały, nie były już tak brutalnie kontrastowe jak zimą. W Rosji żadna zmiana nie zachodzi łatwo, nawet nadejście nowej pory roku. Siła odwilży znów nas zaskoczyła, jak zawsze, sprawiając, że rzeki występowały z brzegów. Nasze znużone dusze ożywiały się, kiedy śnieg i lód ustępowały, a światło każdego dnia pojawiała się o pianie koguta wcześniej. Promienie słońca ogrzewały przemarznątą ziemię i wytapiały lód i szron z naszych żył, rozgrzewając krew i przyspieszając tętno. Wiosenne wiatry rozwiewały po kraju nasiona, roznosząc wraz z nimi obietnicę

żywności; zdmuchiwały pajęczyny z naszych umysłów i budziły Rosję z jej sennego otępienia.

Ja i moja siostra Anuszką, starsza ode mnie o rok, doskonale znałyśmy pałac matki w Kołomienskim. Spędziłyśmy w nim pierwsze lata życia, zanim nasi rodzice wzięli ślub i każda z nas została ogłoszona carówną, księżniczką imperium. Nasza matka, caryca, wszędzie towarzyszyła ojcu, czy to na polu bitwy podczas wielkiej wojny północnej przeciwko Szwecji – walce o przetrwanie Rosji, która toczyła się przez niemal dwie dekady – czy podczas jego podróży na zachód, po całej Europie.

Choć byłyśmy córkami cara, w Kołomienskim mogłyśmy się zachowywać jak chłopskie dzieci. Nasza niania Illinczaja pozwalała nam biegać boso po obrośniętej topolami czerwonej pylistej drodze w luźnych, zwykłych sukienkach i karmiła nas zupami i potrawkami typowymi dla prostej rosyjskiej kuchni. Pod jej czujnym okiem odwiedzałyśmy gołębniki carskiego sokolnika i wychowywałyśmy wiosną kotki, a latem zbierałyśmy jagody w lesie i pływałyśmy w przejrzystych jeziorach. Jesienią szukałyśmy grzybów albo bawiłyśmy się w chowanego w ogromnych stosach suchych liści. Zimą jeździłyśmy na łyżwach i sankach albo budowałyśmy igloo, a raz nawet tęgą bałwanicę, która wyglądała podejrzanie podobnie do Illinczaj. Tak się śmiała na jej widok, że zaczęła kasłać i świstać. Wieczorem kładła się z nami do łóżka: „Chodźcie, gołąbeczki, schowajcie dzióbki pod moimi skrzydłami!”, i opowiadała nam rosyjskie bajki. Wszystkie rozgrywały się w Kołomienskim, w którym ponoć roilo się od złych duchów oraz pięknych panien, porywanych, a potem ratowanych przez dzielnych młodzieńców. „To stara ziemia. I ja sama wiele widziałam na własne oczy” – oznajmiała Illinczaja i żegnała się trzema palcami, na znak Świętej Trójcy prawosławnego Kościoła.

– Nie pożegnałam się z ojcem – powiedziałam, kiedy podchodziliśmy z Anuszką do powozu.

Potrząsnęła głową w niemym ostrzeżeniu, a jej wzrok powędrował do okien apartamentu cara na górnym piętrze Pałacu Zimowego. Zasłony nadal były zaciągnięte; ojciec spał po opróżnieniu poprzedniego wieczoru w pojedynkę dwóch czy trzech

butelek wódki. Za poduszkę służył mu goły brzuch szambelana. Tylko ciepło ludzkiego ciała mogło odpędzić dręczące go demony. Od śmierci Aleksego bał się zasnąć.

– Nikt nie widział się z ojcem, odkąd matka ostatnio zaniemogła, Lizeńko – przypomniała mi Anuszka, używając zdrobnienia mojego imienia. – Tak bardzo liczył na syna. Rosja potrzebuje dziedzica. Starowiercy* niszczą mu życie.

Starowiercy nienawidzili cara za jego reformy i zmiany, które wprowadzał w życiu Rosjan. Ojciec przekreślił kraj niczym głowę lalki i kazał swojemu ludowi patrzeć nie na wschód, tylko na zachód. Przywódcą starowierców był sam carewicz. Kiedy mój przyrodni brat został oskarżony o zdradę stanu i skazany na śmierć, stało się to, co niewyobrażalne. Doprowadzony do szaleństwa przez rozczarowanie i lęk o przyszłość kraju car własnymi rękoma pozbawił życia swojego syna i następcę. Od tamtej pory nie wolno było nawet wspomnieć o Aleksym.

– Potrzebuję go – odpowiedziałam cichym głosem.

Czy nie mogłam po prostu zakraść się do komnat ojca i pożegnać się z nim? Nie.

– Rosja potrzebuje go bardziej. Bądź ostrożna, Lizeńko. Pamiętaj, jak traktuje małego Pietruszkę.

Pietruszka był synkiem Aleksego. Ojciec usunął chłopca – swojego jedyne go wnuka – z naszego i swojego życia. Oderwał naszego bratanka od rodziny, jakby wyrwał kleszcza z za ucha psa. Pietruszka nie mógł stać się pionkiem w rękach starowierców. Należało wykluczyć jakiegokolwiek ryzyko, że on, syn zdrajcy, mógłby kiedykolwiek rządzić. Nic dziwnego, że ojca dręczyły koszmary: strażnicy z Bastionu Trubeckiego, gdzie umarł Aleksy, przysięgali, że dusza carewicza opuściła jego ciało pod postacią wrony. Wtedy car ogłosił polowanie na te biedne ptaki w całym swoim imperium. Chłopi łapali, zabijali, oskubywali i piekli je za nagrodę. Nic to nie pomogło: w ciszy nocy ptak i tak wślizgiwał się

* Starowiercy, inaczej staroobrzędowcy – ruch społeczno-religijny powstały w XVII wieku wskutek rozłamu w rosyjskim Kościele prawosławnym, sprzeciwiający się odchodzeniu od ruskich tradycji liturgicznych.

do sypialni ojca. W chłodnym cieniu jego hebanowych skrzydeł krew na dłoniach cara nigdy nie wysychała. Straszne było patrzeć na ojca w szponach obłądu: budził swoimi krzykami cały Pałac Zimowy. Tylko matka potrafiła go wtedy uspokoić.

– Miejmy nadzieję, że będzie się czuł lepiej, kiedy zobaczymy go w czerwcu, z okazji jego imienin – powiedziałam.

Nadal nie bardzo potrafiłam połączyć przerażającą władzę cara, którego dręczyły własne czyny, z ciepłym i serdecznym papą, na którego kolana uwielbiałam się wspinać, żeby łaskotały mnie jego szorstkie ciemne wąsy: „Chodź tutaj i pociągnij mnie za wąsiska, Lizeńko!”. Nauczył mnie, jak heblować deski: „Kiedy mam zajęte ręce, przychodzą mi do głowy najlepsze pomysły!”, i jak halsować łodzią. Uwielbiał potęgę wiatru: „Pochyl głowę i mocno trzymaj ster!”.

– Przyjdzie czas, a pogodzi się z wolą Boga, jak zawsze. A teraz się nie guzdraj. Wsiadaj.

Anuszka wepchnęła mnie do wnętrza powozu, który wyglądał jak kolorowo pomalowany domek na kołach. Dla naszej wygody rozłożono w nim sienniki pokryte grubymi futrami z niedźwiedzia polarnego i haftowanymi aksamitnymi poduszkami, ale podróż była okropna: gruba na kilka arszynów* warstwa lodu i śniegu topniała i zamieniała drogi w bagniska. Kołomienskoje znajdowało się dobre sześćset wiorst** od Sankt Petersburga. Ich pokonanie w dużych i wygodnych saniach podczas mrozów zajęłoby nam trzy do czterech dni, ale teraz miałyśmy spędzić w drodze dwa tygodnie. Rzeki występowały z brzegów, barki nabierały wody, a drogi usiane były zdradzieckimi dołami i głębokimi, błotnistymi koleinami. Obijałyśmy się o siebie we wnętrzu powozu niczym szynki zwisające pod dachem wędzarni. Kiedyś śmiałybyśmy się z takich niewygód, popychałybyśmy się jeszcze mocniej, aż do utraty tchu, by potem błogo odpocząć. Teraz jednak tylko siadałyśmy z powrotem na miejscach i wdychałyśmy

* Arszyn – jednostka długości równa ok. $\frac{3}{4}$ m, używana w dawnej Rosji.

** Wiorsta – dawna rosyjska jednostka drogowych miar długości, równa ok. 1 km.

w milczeniu. Ojciec wysłał z nami swojego portugalskiego błazna d'Acostę, żeby nas zabawiał. Ale po kiepskim żarcie, kiedy to karzeł wsunął sobie poduszkę pod koszulę i jęczał, wyginając plecy, jak kobieta podczas bólów porodowych, garderobiana matki spoliczkowała go i kazała zakneblować. D'Acosta leżał teraz w kącie, związany niczym kurczak wieziony na targ, z nadętymi policzkami i oczami pełnymi łez. Trzeciego dnia knebel nie był już potrzebny – błazen siedział nadąsany i milczący jak my: matka, jej garderobiana, Anuszka i ja.

Wszystkie dacje po drodze były jeszcze opustoszałe, więc nocowaliśmy w gospodach. D'Acosta z przyjemnością przegonił roślących mężczyzn z wielkiego pieca – który nie tylko ogrzewał salę, ale też służył jako palenisko do pieczenia wieprzowiny i drobiu, przestrzeń do suszenia prania oraz łóżko dla rodziny karczmarza – żeby zrobić na nim miejsce dla nas. Rzadko mieliśmy pokoje dla siebie, zwykle wyciągaliśmy się na nieheblowanych ławach albo na posłaniach rozłożonych na brudnej słomie.

– Dlaczego nie możemy spać pod gwiazdami i gotować na ognisku? Przecież jest wiosna – szepnęłam do Anuszki pewnej nocy, kuląc się i mocniej do niej przytulając.

– Musisz poczekać na Kołomienskoje – odpowiedziała. – Matka musi odpocząć i postarać się zapomnieć o troskach. Jak się uspokoi, będziesz mogła robić, co będziesz chciała.

– Oby!

Zachichotałam, a potem leżałyśmy w ciszy, mając nadzieję, że będzie nam mniej niedobrze po kolejnej porcji solonej i tłustej od boczku kaszy jaglanej albo kiszzonej kapusty, którą zawsze częstowano nas w karczmach. Pod koniec zimy spiżarnie szybko się opróżniały, a ludzie dosłownie wygrzebywali resztki zapasów z beczek. Dla mnie był to kolejny powód, by wypatrywać obfitości wiosny. Oferowała ona Rosjanom takie dobra jak ryby, wieprzowina, drób, kawior, grzyby, jagody i miód, a nowe zbiory żyta, pszenicy, jęczmienia i prosa pozwalały piec chleby, paszteciki, ciasta, pierogi, pielmieni i bliny. Przynajmniej podróżowaliśmy w miarę sprawnie: w gospodach można było wymienić konie. D'Acosta wybierał ze stajni, co chciał, nic nie płacąc.

To, co należało do każdego Rosjanina, przede wszystkim należało do cara.

– Po wszystkim, co się wydarzyło, dobrze nam to zrobi – stwierdziłam, kiedy sześć silnych koni zaprzężonych w szydło* do naszego powozu przecięło olbrzymi park otaczający Kołomienskoje.

Za nim toczył się niekończący się sznur wozów. Załadowano je ciężkimi skrzyniami, które zabezpieczono łańcuchami i zamkami. W skrzyniach znajdowały się nasze rzeczy: meble, dywany, porcelana, kryształowe naczynia, pościel i kandelabry. Podczas nieobecności cara jego pałace były puste. Ryzyko pożaru, który mógłby strawić całe wyposażenie, albo pojawienia się włamywaczy, którzy mogliby je ukraść, kiedy strażnicy zalegną w pijackim stuporze, było zbyt duże. Obok orszaku wozów pędzono żywy inwentarz – krowy, kozy, kury i owce – by zapewnić dostawy dla pałacowej kuchni w Kołomienskim. Czerwony pył unosił się z drogi i przesłaniał ostatnie blade promienie zachodzącego słońca. Gardła miałyśmy wysuszone, bo kurz wpadał do środka przez staroświeckie drzwiczki z miki i osadzał się w porach naszej skóry, w oczach i w ustach. Miałyśmy nadzieję, że Illinczaja, która w Kołomienskim pełniła też funkcję gosposi, miała jeszcze zeszłoroczny sok z czarnego bzu, który można pomieszać ze świeżą chłodną wodą ze źródła na terenie majątku. Ten napój był tak odświeżający, że najchętniej bym się w nim wykąpała.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała matka.

Zauważyłam, że źle wygląda: z powodu niedawnej utraty krwi, wyczerpania podróżą i innych przyczyn. W jej skośnych zielonych oczach nie było ognia, a pełne wargi pobladły. Pokojówka starała się uczesać jej ciemne loki, lecz opadały przykłapnięte i matowe.

Wyprostowałam się z przekorą.

– Musimy wyleczyć swoje smutki, a nie je uciszać. Teofan Prokopowicz mówił mi, że żałoba potrafi pożreć duszę. A on jest

* Szydło – zaprzęg koni ustawionych jeden za drugim w pojedynczym rzędzie.

przecież arcybiskupem Nowogrodu i najmądrzejszym popem w Rosji, który zawsze służy ojcu najlepszą radą, tak?

– Lizeńka ma rację – włączyła się Anuszką. – Nie wolno się bać. Wiemy, jak bardzo ojciec nas wszystkie kocha, pomimo tego, co uczynił A...

Matka przytknęła ostrzegawczo palec do ust, przypominając nam, że ojciec zakazał wypowiedziania imienia Aleksego.

– Cisza też chroni – powiedziała. – Im mniej słów, tym lepiej. – Po chwili jednak jej oczy zajaśniały. – Mnie też Teofan Prokopowicz coś powiedział.

– Co takiego? – zapytałam.

– Gdy nadejdzie dzień rozrachunku, okaże się, że dałam carowi Rosji dziedzica.

Skrzyżowała ramiona, a jej palce musnęły głębokie blizny na wewnętrznej części przedramion. Pierwszy raz zauważyłam je kilka tygodni temu, gdy Teofan Prokopowicz pospiesznie pobłogosławił i pochował drobne ciało mojego braciszka – o wiele za drobne, by trafić do ziemi tak całkiem samo. Bezlitosna precyzja tych cięć mnie przeraziła. „Dlaczego Bóg nie zostawił mi tego dziecka? – lamentowała leżąca w łóżku matka. – Dlaczego nie zabrał innego... Anuszkę albo ciebie, Lizeńko? Jesteście tylko dziewczynkami”. Jej garderobiana wyprosiła mnie z komnaty, szepcząc: „To okropne. Caryca straciła tyle krwi, że doktor zabronił jej znowu zachodzić w ciążę. Nie będzie syna. Módl się za jej wysokość, carówno Elźbieto”.

– Jak stwierdziłaś, Teofan to najmądrzejszy człowiek w Rosji. Więc nie straciłam całkiem nadziei – oznajmiła matka, oczekując od nas pociechy, która stłumi jej największe zmartwienie.

– Oczywiście. Dasz ojcu dziedzica. Zawsze będziemy w to wierzyć, bez względu na wszystko – zapewniła Anuszką.

– Wiesz, co ojciec powtarza: nigdy się nie poddawaj! – dodałam.

– Moje dziewczynki. Kocham siłę waszego ducha – powiedziała matka z odrobiną dumy w drżącym głosie.

– Zgadnij, po kim ją mamy – odpowiedziałam i wzięłam ją za rękę, żeby nie obejmowała nią już swego pustego łona.

Powóz dotoczył się do pałacu. Nareszcie dotarliśmy! Topole rosnące wokół Kołomienskiego właśnie kwitły. Niesione wiatrem nasiona – puch – zbierały się na wiosnę w przypominające śnieg chmury i wypełniały powietrze. Niczym aureola otoczyły ciemne loki matki i Anuszki, kiedy wystawiłam głowę przez okno i szybko ją cofnęłam: spod końskich kopyt tryskały błoto i kamyki, które mogły wybić nieostrożnemu podróżnemu oko.

– Widzę Kołomienskoje! – zawołałam ucieszona. – Boże, ile to trwało. Spójrzcie! Tylko spójrzcie...

Zaczęłyśmy się z Anuszką przepychać, aby zyskać lepszy widok. Moskwa była składanką kolorowo pomalowanych drewnianych domów różnej wielkości skupionych wokół tysięcy cerkwi i ich wież. Miasto niczym wąż oplątywało swoje ciemne, złowieszcze serce: Kreml. W dawnej stolicy Rosji ciągle gdzieś odzywał się dzwon, wzywając na wielogodzinne nabożeństwo albo bijąc dla uczczenia jakiegoś świętego, i uniemożliwiał prowadzenie rozmowy. Miasto niczym chwasty rozrosło się w ciągu wieków z ruskiej twierdzy, miejsca, w którym powstało nasze wspaniałe państwo. W przeciwieństwie do Moskwy w Sankt Petersburgu – nowiutkim, lśniącym „raju” ojca – każda ulica i każdy kanał zostały starannie zaplanowane na wzór najpiękniejszych miast, jakie widział i podziwiał podczas swoich podróży na Zachód. Włoski poseł nazwał wygląd miasta „bękarcia architekturą, która kradnie od Włochów, Francuzów i Holendrów”. Pałace, dwory i kamienice o eleganckich, gładkich fasadach były nanizane niczym perły na nabrzeża Newy i tuzinów stworzonych przez człowieka kanałów. Przemierzanie ulic Sankt Petersburga w burzowy dzień przypominało bieg z przeszkodami: wiatr wyrwał co luźniejsze płytki z fasad, a te spadały z hukiem, ledwo mijając przechodniów, którzy uciekali, potykając się i przewracając na nierównym, pospiesznie ułożonym bruku.

Kołomienskoje natomiast było niczym pradawny sen. Mój dziadek car Aleksy, drugi car Wszechrusi z rodu Romanowów, wybudował ten okazały myśliwski dwór nad rzeką Moskwą. Wyrastał on na grzbiecie wzgórza niczym barwny grzebień na potężnej fali zieleni, lasów, strumieni i jarów. Szachulcowe

ściany parteru ze stajniami, magazynami i spiżarniami wzniesiono z drewna i kruszącego się teraz wypełnienia – mieszanki gliny, piasku i słomy. Za maleńkimi okienkami – czy raczej nieoszlakowanymi otworami okiennymi – służący gnieździli się razem z inwentarzem, korzystając z ciepła ciał i oddechów zwierząt. Pęknięcia w tynku wypełniały kępy wygotowanego mchu, lecz nawet smołowanie latem nie powstrzymywało chrząszczy. Ściany pilnie wymagały bielenia, by zapobiec budowaniu przez osy gniazd. Na pierwszym piętrze, które zajmowałyśmy my, panował zawsze leciutki przeciąg od niezliczonych wielkich i źle dopasowanych okien z prawdziwymi szybami i kolorowo pomalowanymi futrynami. Koroną Kołomińskiego był dach pałacu, imponujący chaos pomimo mnóstwa brakujących dachówek. Inspiracją do jego powstania były różne rodzaje i style dachów w całej Wszechrusi: czy to wznoszące się na kształt schodów, czy sterczące w formie cebulowych bizantyjskich kopuł, czy też rogatki i nisko osadzone niczym polska czapka albo wzbijające się w późnopołudniowe niebo ostrymi iglicami.

Nawet matka przywarła do okna powozu.

– Uwielbiam to miejsce – powiedziała. – To był mój pierwszy prawdziwy dom. Kiedy wasz ojciec mi go podarował, nie byłam jeszcze jego żoną. Chciał nagrodzić mnie za twoje szczęśliwe narodziny, Anuszek. A zaledwie rok później ty się tutaj urodziłaś, Liżenka, w dniu wielkiej parady na cześć zwycięstwa pod Połtawą...

– ...kiedy to ojciec i cała Rosja świętowali jego zwycięstwo nad szwedzkimi diabłami. Pod grudniowymi gwiazdami, stópkami do przodu, na widok których Illinczaja, która przyniosła ci rosół z kury dla odzyskania sił, pobladła ze strachu, a ojciec zagroził, że ją za to wybatoży, ale ty wybłagałaś jej życie, twierdząc, że nie wolno jej karać za to, że pomogła ci przetrwać tak trudny poród – dokończyłam. Słyszałam tę opowieść tak często, że znałam ją na pamięć.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zaśmialiśmy się wszyscy – nawet błazen d’Acosta, który zapomniał o swoim nieudanym i okrutnym żarcie, policzku i kneblu – a powóz wjechał na wyspany zwirom podjazd pałacu.

CHMARY MUCH OBSIADŁY SPOCONE CIAŁA KONIKÓW i ich zdyszane pyski, gromadziły się w postaci czarnych lśniących gron wokół ich oczu i nozdrzy. Stajenni odganiaли owady, zdejmując z koni ciężką uprzęż i prowadząc je do stajni, gdzie zostaną wytarte do sucha, nakarmione i napojone. Woźnica otarł twarz i oczy, zanim zsiadł z kozła. Z westchnieniem pochylił w pół zeszywniałe ciało pod drzwiczkami powozu, a my wysiadliśmy za matką po jego grzbiecie. Już na ziemi garderobiana podtrzymała carycę za łokieć, a ja i Anuszka zaczęliśmy się przeciągać i przytupywać. Służący pospieszyli ku nam z pałacu, a suplikanci czekający gromadą przed wysokim portykiem z kolumnami zaczęli deklamować wiernopoddańcze przysięgi i wyciągać ręce z petycjami, za których napisanie zapłacili już komuś duże pieniądze.

Zwyczajem było, że po przybyciu cara i jego rodziny do któregoś z carskich pałaców organizowano publiczną audiencję: rozstrzygano sąsiedzkie spory, jak kłótnie o miedze czy rzekomą kradzież stada, wysłuchiowano oskarżeń o czary w przypadku pożarów czy głodu, przyznawano lub nie większe majątki, ziemie wraz z niewolnymi chłopami. Słyszeliśmy, jak ludzie wołają do matki, by zwróciła na nich uwagę:

– Caryco!

– Matuszko, wysłuchaj mnie...

– Nie, najpierw ja! Moje wieczne oddanie...

– Zbierz pisma – rozkazała matka swojej garderobianej. – Zdecyduję o nich później, kiedy mi je odczytasz. Wierz mi, że rozumiem, co czują.

Matka z nieślubnej córki inflanckiego chłopca stała się carycą Rosji, ale nadal nie potrafiła czytać i pisać. Poznała ojca w obozie wojskowym, kiedy przebywała w rosyjskiej niewoli. Uwielbiałyśmy zadręczać ją pytaniami o tę chwilę. „Co miałaś na sobie, kiedy spotkałaś ojca? Jakie były jego pierwsze słowa skierowane do ciebie? Kiedy się zorientowałaś, że cię kocha?” Ona jednak zawsze unikała odpowiedzi.

Garderobiana zebrała petycje z wyciągniętych w błagalnym geście brudnych rąk do podółka swojej sukni. Zanim d'Acosta

wszedł za nią do wnętrza, przedrzeźniał suplikantów, kłaniając się i kuląc, a potem pokazał im język i zrobił gwiazdę.

Ja i Anuszka zwlekałyśmy, obserwując, jak rozpakowywane są nasz powóz i wozy. Służący biegali niczym armia mrówek: pokojówki, obejmując ramionami wypełnione kosze, a lokaje ze skrzyniami na plecach, napinając mięśnie pod koszulami z surowego lnu. Popołudniowe słońce ogrzewało mi twarz, a moje ciało odprężało się po niewygodnej jeździe. Skoro matka znalazła się już bezpiecznie w domu, zaczęłam tryskać radością i niecierpliwością, jakby ktoś uniósł pokrywkę z garnka z wrzącym rosółem.

– Gdzie Illinczaja? – Anuszka szukała wzrokiem naszej dawnej piastunki. – Myślisz, że kazała już nagrzać wody do kąpeli?

Poprawiła perski szal z miękkiego, haftowanego kaszmiru, którym owinęła swoje szczupłe ramiona i płaską pierś. Illinczaja zgodnie z poleceniem ojca kąpała nas zawsze co tydzień: mosiężną wannę napełniano parującą wodą z dodatkiem olejku różanego, a my okładałyśmy się bezlitośnie gąbkami, rozpryskując wodę i krzycząc, bo udawałyśmy Rosjan i Szwedów walczących pod Połtawą. Illinczai nigdzie nie było widać, więc Anuszka odwróciła się do swojej skrzynki z książkami: wraz z wiosną do Sankt Petersburga zawitały statki handlowe, po krawędź burty wyladowane cudownymi towarami, takimi jak porcelana, sukno oraz powieści.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziałam. – I mam nadzieję, że zrobiła swoją popisową potrawkę, całe jej sagany! Boczek w Kołomienskim jest lepszy niż gdziekolwiek indziej, a Illinczaja nie jest taka skąpa jak kucharz ojca i grubo go kroi. Pójdiesz ze mną najpierw do stajni? Kotka powinna już mieć młode. Może wybiorę sobie kociątko, żeby zabrać je ze sobą do łóżka.

– Nie życzę sobie żadnego cuchnącego stworzenia w łóżku. I porzuć już te głupstwa – ostrzegła mnie Anuszka, choć jednocześnie się śmiała. – Wkrótce będziesz pieścić w łóżku kogoś innego niż kociątko. Myślisz, że król Francji będzie chciał dzielić jedwabną pościel z syczącą i drapiącą kulką futra?

Król Francji. Przesuwałam te słowa w myślach niczym marmurowe kulki i czułam, że jeszcze mocniej się rumienię. Ojciec

zaoferował Wersalowi moją rękę, kiedy byłam dzieckiem. To byłby idealny związek – młody król Ludwik xv i ja jesteśmy w tym samym wieku – lecz Francja nie odpowiedziała konkretnymi, każąc nam czekać i mieć nadzieję. To milczenie martwiło mnie jednak mniej niż to, co powiedział mi karzeł d’Acosta: błazen przysięgał, że Ludwik ma luje się mocniej niż którakolwiek z dam na dworze moich rodziców i że nosi żaboty z całych stosów koronek. Popatrzyłam na swoją niezasznurowaną, zakurzoną suknię z bawełny, która pogniotła się podczas podróży i zwisała na mnie luźno, dzięki czemu czułam się swobodnie, chociaż opinała się ładnie w odpowiednich miejscach na mojej krągłej figurze. To z pewnością nie umknęłoby uwadze młodego króla Francji i dworzan z Wersalu, którzy ponoć zmieniali ubranie po pięć razy dziennie! Dlaczego nie zmienili krawców, skoro byli aż tak niezadowoleni? Chabrowa suknia podkreślała kolor moich oczu i jasne włosy, które na podróż zapleciono mi w warkocze owinięte wokół głowy. Moja pokojówka dbała, żeby moje włosy były gęste i lśniące, regularnie nakładając na nie kurze żółtka i płuczając je w rumianku oraz piwie. Nie tylko do włosów używałam kosmetyków: mieszanka kefiru z dalekich stepów i marynowanych cytryn, które matka sprowadzała z Włoch, sprawiała, że nasza skóra była jasna i miękka. Może Ludwik nie potrzebowałby tyle pudru, gdyby też z niej korzystał?

– Lepsi mały i cuchnący kotek niż wielki i owłosiony facet. Byłabym przerażona na śmierć, gdybym miała z kimś takim znaleźć się w łóżku. – Zachichotałam nerwowo. – Co on by na sobie miał?

– Koszulę nocną? – podsunęła Anuszka.

– Co? Taką jak moja? Jedwabną z koronkami?

– Cóż, to mogłaby być trochę inna koszula. Bo mężczyźni są trochę inni, nie uważasz?

Zawahałam się.

– Powinni. Chociaż w jakim sensie?

– Nie wiem – przyznała Anuszka.

– Cóż, pozostanę przy kotkach, dopóki ojciec nie otrzyma z Wersalu konkretnej odpowiedzi.

Wzruszyłam ramionami, udając, że mnie to nie obchodzi. Tak naprawdę te lata milczenia, które minęły, odkąd mój portret został wysłany do Francji, stanowiły obrazę, mimo że malarz Caravaque, który stworzył też podobiznę Anuszkki, nie mógł wyjść z podziwu: „*Mon Dieu*. Twoje oczy są żywe jak u ptaszka! Ta skóra, ta pierś, te złote włosy: po prostu cudowne! *Merveilleux!*”.

Naśladowaliśmy go, przemierzając w podskokach korytarze i recytując: *MonDieuMerveilleux*. Nawet francuski poseł w Rosji, de Campredon, popierał ten mariaż: w swoich listach, które przechodziły przez Tajny Urząd Śledczy, opisywał mnie jako „najpiękniejszą księżniczkę chrześcijaństwa”, mającą w sobie „ciepło, które sprawiło, że car poślubił jej matkę” – był to dla mnie dość zastanawiający komplement.

Poważną zwykle twarz Anuszkki rozjaśnił uśmiech.

– Brak wieści to dobre wieści. Ostatecznie piękna księżniczka zawsze dostaje swojego rycerza w lśniącej zbroi.

Byłam wdzięczna za te słowa pociechy. Co ja pocznę bez niej, kiedy już wyjadę do Francji?

– W twoich książkach tak. Ale czy tak się dzieje naprawdę?

– Na pewno w to nie wątpisz. Wszystko układa się po twojej myśli, Lizeńko. W niemal magiczny sposób. Przecież wiesz. A ja umiem czytać ci w myślach.

– Ach. To o czym w tej chwili myślę?

– Zastanawiasz się, czy wielkie miechy kowala Griszy nadal są w stajni. Te, których używałyśmy jako huśtawki.

Uniosłam rękę.

– Trafiłaś. Ale sama nie dam rady się na nich pohuścić.

– Chcesz narazić na niebezpieczeństwo moją nieśmiertelną duszę?

– Tak, ja grzesznica. – Zachichotałam i pstryknęłam palcami na jej pokojówkę. – Zabierz książki carówny Anuszkki do naszych komnat. Najnowsza powieść miłosna z Włoch musi poczekać. Najpierw trzeba pohuścić się na miechach.

– Zepsuje mi się fryzura – jęknęła Anuszkka.

Sięgnęłam, by zmierzwić jej ciemne proste włosy, które spleciono w warkocze i owinięto jak obwarzanki koło uszu.

– I już. Nie masz się czym martwić. Załatwione.
Ucałowałam ją w policzek i pociągnęłam za sobą.

Minęliśmy olbrzymi warzywnik, położony między kuchnią i stajniami. Cebula, por, rzepa, buraki i kapusta rosły pośród gęstego dywanu chwastów, który świadczył o długich okresach niedbalstwa: koniczyna i stokrotki kwitły wszędzie, a pszczoły pracownice korzystały z coraz dłuższych dni, zbierając pyłek do pysznego miodu z Kołomińskiego, który uwielbiałam dodawać do kaszy. Wciągałam głęboko do płuc świeże powietrze. Kiedy wiosna przychodzi do Sankt Petersburga, Newa występuje z brzegów i nawet pachnące kwiecie roślin, które ojciec sprowadzał z dalekich stron, od Francji po Persję, nie jest w stanie stłumić błotnistej woni, rozciągającej się, gdy wody rzeki się cofają. Miesza się on z zapachem gnijących resztek z targów i zakrzepłej krwi na szafotach, które stawiano zwyczajowo na najruchliwszych placach i skrzyżowaniach jako ostrzeżenie dla rosyjskiego ludu.

– Co to? – zapytałam, zatrzymując się przy wielkim kamieniu tuż pod drzwiami kuchni.

Przy tylnym wejściu do pałacu kucharka odbierała dostawy w ciągu dnia, natomiast nocą niektórzy ze służących sprzedawali skradzione z wnętrza zdobycze.

– Pomocnice kucharki ostrzą sobie tutaj noże. Zobacz, cały kamień jest porysowany – odpowiedziała Anuszka.

– Wiem – odparłam niecierpliwie. – Ale dlaczego leżą na nim talerz z blinem i zsiadłe mleko?

– Już jesteś znowu głodna? Pohamuj się trochę – zrugła mnie.

Gruby blin ociekał miodem. Nic tylko posypać go orzechami i byłyby w sam raz po długiej podróży!

– Sama powinnaś coś zjeść, tyczko! – odpowiedziałam i zaczęłyśmy się ze śmiechem przepychać.

– Tak, dziewczęta, pohamujcie się! To obiata. – Na progu kuchni pojawiła się matka. Na jej bladych po męczącej podróży policzkach zagościł już delikatny kolor. Poruszała się teraz jak prosta kobieta, jakby nadal była chłopką, która pochodzi z małej

inflanckiej izby* i nie posiada nic poza odzieniem na grzbiecie. – Nie wiecie, że w lesie przy Kołomienskim mieszka Domowik?

– Domowik? – zapytałam, nie odrywając wzroku od blina i przypominając sobie jedną z bajek opowiadanych przez Illinczaję. – Duch lasu?

– Tak. Serce mu pęka, gdy ścinane są drzewa. Pomyślcie, ile ich ścięto, żeby car Aleksy mógł wybudować ten pałac. Illinczaja chce przebłagać Domowika – odpowiedziała matka.

Uśmiechała się na myśl o wierze piastunki w stare podania i legendy. Ten widok poprawił mi humor. Matka na pewno tutaj wydobrzeje i może będzie mogła urodzić kolejnego syna pomimo ponurej przepowiedni medyka.

– To prawda! Szanuję wszystkie duchy! – Za matką stanęła Illinczaja. – Kołomienskoje to stara ziemia, więc jest ich pełna.

Uradowałam się na jej widok. Choć minęły lata, odkąd się ostatnio widziałyśmy, a ja i Anuszka zmieniłyśmy się z małych dziewczynek w młode kobiety, nasza piastunka wyglądała tak samo. Jej pokryta czerwonymi żyłkami, szeroka twarz była zarumieniona; chyba zadyszła się po pokonaniu kilku schodków. Jej strój bezczelnie przeczył prawom wprowadzonym przez naszego ojca. Nakazał wszystkim Rosjanom, by ubierali się zgodnie z zachodnią modą, nawet jeśli takie odzienie było ciasne i niewygodne, a tanie i cienkie tkaniny nie nadawały się na naszą pogodę. Illinczaja miała na sobie Inianą koszulę z długimi rękawami i tradycyjną szeroką, ocieplaną tunikę, sarafan, którą zdobił skomplikowany roślinny haft. Te wzory były w Rosji niczym sekretne języki. Kobiety z każdej rodziny miały swój własny. Wypełniały długie zimowe wieczory, doskonaląc to piękne rzemiosło, przy ciepłym piecu i rozmowach.

– Stara ziemia pełna duchów? – zapytała Anuszka, rumieniąc się. – Och, pamiętam twoje bajki o Babie Jadze, która ma domek z kurzych kości! Stoi na trzech nóżkach i obraca się wraz ze słońcem. No i jest Leszy, paskudny potwór, który zwodzi ludzi swoimi przepowiedniami...

– To nie są bajki. – Illinczaja zmarszczyła brwi.

– Stara ziemia? Co za bzdury – roześmiał się d’Acosta, który wychynął nagle zza matki. Zwykle pojawiał się i znikał zniemacka. – Głupie przesady, wymyślone po to, żeby dręczyć chłopów i wyciskać z nich ostatnie kopiejki. – Uniósł gęste brwi, patrząc na Illinczaję i brzęcząc monetami w kieszeni, niczym niedźwiednik zbierający zakłady na wiosennym jarmarku.

– Cicho bądź, krasnalu – ofuknęła go Illinczaja. – Muszę godnie powitać carówny!

Pokłoniła się przed nami głęboko, ucałowała nam palce i przyłożyła sobie do czoła nasze dłonie, mamrocząc błogosławieństwa. Falbaniasty czepek okrywający jej posiwiałe jasne włosy musnął mi nadgarstek. Wstała i uśmiechnęła się szeroko, ukazując tuzin pozostałych jej jeszcze zębów.

– Anuszko Piotrowna i Elżbieto Piotrowna, witajcie z powrotem w Kołomienskim. Przybywacie z najsmutniejszego z powodów – niech Bóg zlituje się nad duszyczką kolejnego z waszych braci – lecz ten dom i my wszyscy witamy was z miłością i wiernością.

Wymieniłyśmy z Anuszką szybkie spojrzenie: zwykle nikt nie śmiał wspominać o nieszczęściu naszej matki, która pochowała już sześciu synów, niektórych od razu po narodzinach, innych po zaledwie kilku latach życia. Za Illinczaję przemawiały jednak jej wieloletnia wierna służba i brak jakiegokolwiek złośliwości, więc ruszyłyśmy, by ją przytulić.

Klasnęła w sękatę dłoń i rozłożyła szeroko ramiona, wołając:

– Nareszcie! W dniu, w którym opuściłyście Kołomienskoje, by dorosnąć i stać się ważnymi osobami, zabrałyście ze sobą moją duszę. Och, chyba pęknę z radości! – Ścisnęła nas mocno jak w imadle i musiałyśmy się ze śmiechem uwalniać z jej objęć. Tak samo było, gdy jako malutkie dziewczynki miałyśmy czasem dość jej czułości. Illinczaja ocierała swoje wąskie, jasnyniebieskie oczy, z których leciały łzy. Jak wielu Rosjan fińskiego pochodzenia, miała niezwykle jasną cerę. – Jakże urosłyście i wypiękniały! Moje oczy mogłyby was nie rozpoznać, ale serce pozna zawsze. Mam nadzieję, że niedługo będę wam szykować weselne uczy.

– Och, oby to były prorocze słowa – powiedziała Anuszka, nieśmiało zerkając na matkę, która uśmiechnęła się zagadkowo i odparła:

– Kto wie, co przyszłość trzyma w zanadrzu dla moich małych szczęściar.

Nie potrafiłam powstrzymać łez napływających mi do oczu. Matka zwróciła się do mnie zaskoczona:

– O co chodzi, Lizeńko?

Anuszka objęła mnie za ramiona w pełnym zrozumienia milczeniu.

– Tak się cieszę, że jesteśmy wszystkie razem. I wiem, że znowu będzie dobrze! – zawołałam, zanim zaczęłam szlochać i je tulić.

Anuszka i ja, carówny Wszechrusi, nasza matka caryca i kucharka Illinczaja obejmowałyśmy się mocno, a d’Acosta opadł na wielki kamień z blinem i płakał głośno na modłę południowców, jęcząc, zalewając się łzami, smarkając i krzywiąc swą małą błazeńską buzię.

Magia starej ziemi Kołomińskiego już roztoczyła wokół nas urok swobody i prostoty, łącząc tysiącem nici ze swojego krosna, uświęconych naszym wspólnym smutkiem i cierpieniem. Nasze łzy nie były niczym innym jak ofiarą za pokój i przyjaźń, podobnie jak obiata na kamieniu do ostrzenia noży. Matka miała rację: miałyśmy szczęście, że tu wróciłyśmy. Bo jak często zdarza się w życiu, aby blin z miodem i zsiadłe mleko zdołały prześlagać złe duchy?

URZĄDZILIŚMY SIĘ NA WIOSNĘ W KOŁOMIENSKIM. Poza tym, że po naszym przybyciu trzeba było pospiesznie zamknąć połowę korytarzy, bo belki nie utrzymałyby naszego ciężaru, pałac się nie zmienił. Był tak wielki, że gubiłyśmy się w jego ponad dwustu pięćdziesięciu komnatach i mogłyśmy przez całe dni nikogo w nich nie napotkać. Illinczaja zarzekała się, że korniki są już tak wielkie i upasione, że nocami słyszy, jak zżerają drewno.

– Nie opowiadaj bzdur, Illinczajo. Nie jesteśmy już dziećmi – zrugalam ją.

Odzyskiwałyśmy komnatę za komnatą, wypełniając dwór myśliwski dziadka naszą młodością i radością. Zjeżdżałyśmy po wielkich schodach na siennikach, udając, że to sanie, i śmiejąc się do rozpuku z naszych szczękających na każdym schodku zębów. Puszczaliśmy bączki po korytarzach, robiąc zakłady, który będzie szybszy. Anuszka odkurzyła swój domek dla lalek: ebenista z Norymbergi dokładnie odwzorował słoneczny splendor Pałacu Letniego, aż po wyłożone panelami ściany w kolorze lodowatej zieleni Newy i miodowe, wzorzyste parkiety. Bawiła się w nim lalkami o pustych, porcelanowych twarzach i sztywnych kończynach. Piękne stroje lalek, uszyte na wzór najnowszej europejskiej mody, już dawno zniknęły – prawdopodobnie myszy uwiły sobie z nich gniazda, więc Anuszka przypinała do ich miękkich tułowi spłowiałe na słońcu szmatki, które dawała jej Illinczaja. Obserwowałam siostrę zafascynowaną: zajmowała się nimi z taką pieczołowitością jak ja ogłowiem i siodłem, kiedy dbałam o ich wyczyszczenie i nawoskowanie przed następną przejażdżką.

Ostatnią komnatą, do której jeszcze nie dotarliśmy, była Sala Wielka, sala tronowa naszego dziadka. Kiedy wślizgnęłyśmy się do tego olbrzymiego pomieszczenia, przy skrzypieniu skrzydła wysokich podwójnych drzwi, zatrzymałam się w progu i z zachwytem chłonęłam widok. Południowe światło wpadało przez barwne witraże. Każdy centymetr misternie rzeźbionych paneli na ścianach i suficie był kiedyś pokryty kolorowymi farbami, lecz barwy wypłowiały. Miałam wrażenie, jakbym się skurczyła i weszła do środka mojej ulubionej niegdyś zabawki: kalejdoskopu,

który podarował nam kiedyś carski poseł w Persji, księżę Artemiusz Wołyński.

– Zobacz, Anuszko. Wciąż tu jest – powiedziałam przyciszonym głosem, wskazując jedyny mebel, który zawsze stał w Kołomienskim na swoim miejscu: hebanowy tron naszego dziadka.

Miał wysokie oparcie, a podłokietniki wykończone pięknie wyrzeźbionymi głowami lwów. Podobnie jak cały pałac, tron kurzył się przez lata, które minęły od śmierci dziadka Aleksego i naszej wyprawki.

– Chodź – nakazałam Anuszce i prześlizgnęłyśmy się do tronu po parkiecie, jakbyśmy śmigały na łyżwach po zamrożonym jeziorze.

Pyski lwów były zamknięte, lecz ich pokryte złocieniem grzywy płonęły, a oczy lwy miały wysadzone rubinami. Klejnoty ponoć zapewniały naszemu dziadkowi roztropność i pomagały mu podejmować mądre decyzje. Połyskiwały w naszą stronę szkarłatem. Podeszłam bliżej i przetarłam je rękawem, a potem poruszyłam dźwignię ukrytą za jedną z lwich głów.

– Rrrrau! – zaryczałam, gdy bestie rozwarły pyski, a pordzewiały mechanizm zaskrzypiał.

Anuszka podskoczyła i zachichotała. Zabawka służyła pewnie do straszenia chłopów przychodzących do dziadka z prośbami.

Cofnęłam się do niej i stanęłyśmy obie naprzeciwko tronu.

– No dalej, usiądź tam. – Popchnęłam ją delikatnie. – Ty jesteś starsza.

– Nie mam odwagi. A gdyby ojciec się dowiedział?

– Uśmiełby się – odparłam, starając się brzmieć przekonująco.

– Doprawdy? To może ty usiądziesz?

Przyjrzałam się stojącemu na podeście tronowi. Baldachim z czerwonego aksamitu szpeciły pleśń, dziury wygryzione przez mole oraz pajęczyny. Wysokie hebanowe oparcie tronu było misternie rzeźbione, a podnózek z wytłaczanego srebra leżał przewrócony, jakby nasz dziadek dopiero co wstał, by zająć się swoją ulubioną rozrywką, czyli polowaniem z sokołami. Nawet kiedy przebywałyśmy tu jako dzieci, w swobodzie i z dala od

całej pompy i dworskiego protokołu, nigdy nie odważyliśmy się wspiąć na podest i usiąść na tronie. Przelknęłam ślinę.

– No dobrze – powiedziałam.

Poczułam, że poca mi się dłonie, kiedy robiłam pierwszy krok. Tron jakby rósł i coraz bardziej nad nami górował, a jego ciemny zarys zdawał się surowo ostrzegać, byśmy nie naruszały praw cara.

– Lizeńko! – Anuszka chwyciła mnie za łokieć. – Nie rób tego. To nie dla nas.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałam i znieruchomiałam. – Żadna kobieta nigdy Rosją nie rządziła i rządzić nie będzie. Pamiętasz, co Illinczaja mówiła nam o podłej siostrze przyrodniej ojca Zofii? Tej, która była regentką ojca i szalonego stryja Iwana, kiedy zostali jako chłopcy carami, ale jeden był za młody, a drugi zbyt chory, żeby rządzić? Nawet ona nigdy nie śmiała usiąść na tronie.

– Pamiętam. I pamiętam też, że Illinczaja nigdy nie nazywała naszego stryja szaleńcem. – Anuszka uśmiechnęła się szeroko.

To prawda: niegrzeczna i pyskata Illinczaja nazywała starszego, przyrodniego brata naszego ojca, który od urodzenia cierpiał na straszną chorobę, Iwanem Idiotą. Taki brak szacunku mógł spowodzić na piastunkę wszelkiego rodzaju kary, od chłosty aż po odarcie ze skóry, w zależności od humoru sędziego interpretującego carskie prawa. Och, nie mogłam się doczekać, aż znajdziemy się znowu w kuchni i będziemy słuchać opowieści o przeszłości naszej rodziny, tak jak to robiłyśmy jako dzieci.

– Ojciec nie może tego usłyszeć. On i Iwan byli carami razem, władali wspólnie, nawet jeśli Iwan był szaleńcem albo idiotą, albo szalonym idiotą, albo ani jednym, ani drugim – odparłam.

Po śmierci Iwana ojciec zamknął swoją siostrę uzurpatorkę w klasztorze, ale zatroszczył się o wdowę po Iwanie, Praskowie, którą nazywałyśmy ciocią Paszą, i jej córki, dużo starsze od nas kuzynki Katarzynę i Annę Iwanowny, okazując im istic carską hojność. Kiedy opuściliśmy Kołomienskoje, nawet mieszkaliśmy kilka lat z ciocią Paszą w Pałacu Izmajlowskim. Życzenie ojca było jasne i oznaczało dla nas rozkaz: rodzina, podobnie jak cały kraj, musi pozostać zjednoczona. Rosja potrzebowała jednego,

silnego i namaszczonego władcy, a nie niszczącej walki rodzeństwa o panowanie.

Zerknęłam na tron, jakby otaczające go cienie mogły mnie podsłuchać i zdradzić.

– Ale, Anuszek, tak się zastanawiam... Aleksy nie żyje – szepnęłam i szybciotko się przeżegnałam – a ciocia Pasza i car Iwan mieli tylko córki, Katarzynę i Annę, które powychodziły za męża i są teraz daleko. – Znów uczyniłam znak krzyża, by ochronić stryjeczne siostry przed urokami.

– No i? – zapytała Anuszek.

– Więc jeśli matka nie urodzi już syna, to kto odziedziczy tron po ojcu?

Anuszek obróciła się, żeby sprawdzić, czy na pewno jesteśmy same. Każda wzmianka o ewentualnej śmierci ojca uważana była za zdradę stanu, a los naszego przyrodniego brata Aleksego stał się ostrzeżeniem dla wszystkich – nawet dla nas! Gniew cara nikogo nie oszczędzał.

– Wiesz, co ojciec kazał ogłosić Teofanowi Prokopowiczowi: że car prędzej zostawi Rosję godnemu obcemu niż własnemu niegodnemu dziecku.

– A może godnemu wnukowi, czyli małemu Pietruszce? To w końcu wiadomo czyj syn. – W ostatniej chwili uniknęłam wspomnienia imienia naszego przyrodniego brata Aleksego, czego ojciec zakazał. – Ma prawie dziesięć lat, jest jedynym żyjącym jeszcze Romanowem i odpowiednim dziedzicem zarówno dla ojca, jak i dla Rosji.

– Biedny mały Pietruszka nigdy nie będzie rządzić. Ojciec nie może nawet znieść tego, że on żyje i dorasta. Matka musiała błagać ciągle skwaszonego hrabiego Ostermanna, żeby został jego nauczycielem. Ojciec zgodził się tylko dlatego, że liczył na to, że będzie go pilnował przed starowiercami.

– Biedny Pietruszka, że ma tego Niemca podagryka za nauczyciela.

– I tak jest lepszy od naszych. – Anuszek się roześmiała. – Nauka to przywilej.

– Mów za siebie. Ja się dużo nauczyłam.

– Niby czego? Niemieckiego, francuskiego i włoskiego? Haftu? Pisania?

– Cóż, tego akurat niezbyt. Ale umiem złapać i oskrobać rybę, strzelam z łuku jak Tatar i jeżdżę konno szybciej od Kozaka.

– Wszystko to bardzo przydatne umiejętności dla żony króla. – Zaśmiała się. – Wersal będzie pod ogromnym wrażeniem, gdy dotrzesz tam na grzbiecie konia, siedząc na nim okrakiem w męskim odzieniu, jak to zwykle robisz.

– Cii...! To tajemnica. – Zepsuł mi się humor. – Zastanawiam się, jak to będzie. To znaczy ta przeprowadzka do Wersalu... albo w ogóle dokądkolwiek. Nie chcę opuszczać Rosji ani ciebie.

– O mnie się nie martw – odpowiedziała, ciut za szybko i unosząc podbródek. – Ja też zrobię doskonałą partię. – Widać było, że sporo o tym myślała. A potem wyraz jej twarzy złagodniał. – Boisz się?

– Czy się boję? Jestem przerażona.

– Ja tak samo. Nigdzie nie jest tak jak tu. Może zapytamy nasze kuzynki Annę i Katarzynę Iwanowny, jak to jest wyjść za mąż jako carówna i zamieszkać za granicą?

– Jeśli je kiedykolwiek zobaczymy. Mieszkają tak daleko i są od nas dużo starsze – odpowiedziałam.

– Myślisz, że mają nam za złe? – zapytała Anuszką.

– Ale co?

– No to, że matka, ty i ja jesteśmy teraz pierwszymi damami Rosji, choć szalony Iwan był starszym bratem ojca i też był carem. Zawahałam się.

– Nie. Myślę, że powinny być zadowolonego ze swojego losu.

Córki cioci Paszy były pierwszymi rosyjskimi carównami, które wyszły za mąż. Przed podróżami ojca na Zachód córki i siostry cara pozostawały pannami i mieszkały w teremie, przeznaczony dla kobiet części domu lub Kremla. Odwiedzali je tylko ich bracia i ojcowie, bo niżej urodzeni Rosjanie byli jedynie poddanymi, a zagranicznych książąt uważano za pogan. Byłam niemowlęciem, kiedy Anna Iwanowna wyszła za księcia Kurlandii, małego bałtyckiego państewka. Natomiast na ślubie Katarzyny z niemieckim księciem Meklemburgii byłyśmy z Anuszką

druhnami. Ojciec dał obu swoim bratanicom ogromne posagi po trzyście tysięcy rubli i osobiście poprowadził je do ołtarza. Najlepszy przyjaciel z dzieciństwa cara, księżę Aleksander Daniłowicz Mienszykow, zapłacił olbrzymi rachunek za uroczystość, wybudował kaplicę przy swoim moskiewskim pałacu i przemienił jego największą salę w kwitnący ogród. Kwiaty i drzewka owocowe sprowadzono z Krymu, za pomocą szpad utworzono tysiące bułek szampana. Ojciec był tak zadowolony z udanego wesela, że następnego dnia wydał setki swoich karłów jednego za drugiego w ceremonii będącej parodią ślubu Katarzyny. Małżeństwa obu kuzynek Iwanownych przyniosły Rosji umowy ślubne, które bardzo naszemu ojcu odpowiadały.

Anuszką zachichotała.

– Powinny być zadowolone z tego, co mają? Lizeńko... Żaden mężczyzna nigdy nie jest, a co dopiero kobieta.

– W takim razie lepiej nie pytać. – Roześmiałam się. Ja też powinnam zawrzeć korzystny dla Rosji związek. – Skoro nie potrafię ani pięknie haftować, ani pisać, to może król Ludwik zadowolony jest tym, że nieźle tańczy? – Obróciłam się kilka razy, pociągając za sobą Anuszkę, a potem zatrzymałam się, z jej rękami w dłoniach. – Nie chcę się z tobą rozdzielać, siostrzyczko.

Było południe, a przesuwające się chmury rzuciły cienie na jej twarz, kiedy mówiła:

– Czuję to samo. Choć teraz mam ochotę pójść po książkę i poczytać sobie w kuchni przed obiadem. Zobaczmy się tam? Illinczają gotuje soliankę.

Na myśl o kotle pełnym słodko-kwaśnego wywaru z wołowiny, kielbasy i kiszonych warzyw aż napłynęła mi ślinka do ust.

– W takim razie dotrę tam pierwsza – oznajmiłam, kiedy Anuszka mknęła niemal bezgłośnie po zmatowiałym parkiecie.

Drzwi zamknęły się za nią z głuchym stukiem, a jego echo rozchodziło się drobnymi falami, aż zaginęło w ogromie Sali Wielkiej.

Wstrzymałam oddech, nasłuchując oddalających się kroków Anuszki, dopóki nie miałam pewności, że odeszła.

I wtedy zwróciłam się w stronę tronu dziadka Aleksego.

PRZESZEDŁ MNIE DRESZCZ. Krew szumiała mi w uszach i dostałam gęszej skórki. Rubinowe oczy lwów mnie obserwowały. Stałam przez chwilę nieruchomo, lecz majestat i absolutna potęga tronu kusiły, by podejść. W Wersalu będę siedzieć na tronie obok mojego męża i władać Francją. Cóż innego mogły oznaczać moje narodziny pod grudniowymi gwiazdami, stópkami do przodu, w dniu, w którym świętowano największe zwycięstwo mego ojca? Będę wspaniałą królową. Co zawsze powtarzał Herr Schwartz, mój wiedeński nauczyciel tańca, tym swoim szorstkim, drażniącym akcentem, zanim zrobił krok delikatną stopą, która zupełnie nie pasowała do jego niedźwiedziowatego ciała? „Praktyka czyni mistrza”. W rzeczy samej. A poza tym nikt się nie dowie. A więc...

Tron przyciągał mnie do siebie. Przysunęłam się bliżej z łomoczącym sercem i przyspieszonym oddechem. Odwróciłam się, żeby spojrzeć przez ramię, jakby moje kroki mogły kogoś zaalarmować. Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę werbel, który niegdyś ogłaszał, że mój dziad zasiądzie w tej sali. Potem rozległ się równy krok setek Kozaków o ponurych twarzach, którzy trzymali lśniące topory. Ich białe skórzane mundury zdobione były srebrem i złotem. Ludzie podchodzili do dziadka Aleksego na kolanach, z twarzami przy ziemi, nie ośmielając się nawet spojrzeć na batuszkę cara, swojego ojczulka. Miałam wrażenie, że słyszę teraz to miękkie szuranie – ale nie, to jedynie moje przyspieszone tętno. Gdy tylko nadejdzie odpowiedź z Wersalu, opuszczę Rosję, błogosławioną przez Boga krainę. Powinam się przygotować.

Stopy miałam ciężkie jak kamienie, a mimo to schodki prowadzące do tronu okazały się zaskakująco niskie. Wzięłam głęboki wdech: już, zrobiłam to. Znalazłam się na podeście i przesuwałam srebrny stółek, żeby stanąć na nim pewnie i móc rozpostrzeć szeroką spódnicę. Szkarłat aksamitnej poduszki niemal całkiem zniknął pod warstwą kurzu, a starannie wyhaftowany złoty pasamon z frędzlami był przetarty i postrzępiony. Odwróciłam się plecami do tronu. Drżące dłonie oparłam na lwich grzywach i powoli, bardzo powoli – drżąc ze strachu i ekscytacji i wyobrażając

sobie fanfary i wiernopoddańcze przysięgi – opuściłam się na siedzisko tronu. Najpierw przysiadłam na samym skraju i mocno zacisnęłam oczy, bo zaschło mi w ustach, a tętniąca krew dudniła w uszach. Ziemia mogła się otworzyć i mnie pochłonąć. Niebo mogło pęknąć i spaść mi na głowę, miażdżąc niczym mrówkę, gdyby najpierw nie uderzył we mnie piorun.

Czas mijał.

Mój oddech się uspokajał.

Nic się nie stało.

Przesunęłam się głębiej na tronie, aż poczułam, że rzeźbione oparcie wbija mi się w plecy. Najpierw zerknęłam spod przy-mrużonych rzęs, widząc salę jak przez kraty, a potem całkiem otworzyłam oczy. Światło wpadało przez witraże, zbierając się w kałuże jak woda i barwiąc drewno wszystkimi kolorami tę-czy. W powietrzu tańczyły drobiny kurzu. Panowała pełna słońca cisza. Wszystko było tak jak zawsze.

Rozluźniłam ramiona, odetchnęłam i osunęłam się na wy-ściełanym siedzisku, a nawet trochę pokolysałam. No proszę! Zacisnęłam pięści. Zrobiłam to. Usiadłam na tronie Wszechrusi. W gardle zebrało mi się na chichot. Jakże inaczej wszystko stąd wyglądało: jakby kolory witraży stały się intensywniejsze, wzór na malowanych panelach ścian bardziej wyraźny i imponujący, a lwie głowy z bliska bardziej poprzecierane. Przesunęłam pal-cem po krawędziach stylizowanych fal grzywy, tam gdzie złota blacha pocieniała.

Na korytarzu rozległy się czyjeś zbliżające się kroki.

– Lizeńko? Jesteś tam jeszcze?! – zawołała Anuszka.

Klamka wielkich drzwi się poruszyła. Podskoczyłam, jakby tron mnie parzył.

– Już idę.

Zerwałam się, strącając poduszkę, i zeskoczyłam z podestu, żeby przebiec przez Salę Wielką. Dopiero gdy zadyszana sta-nęłam bezpiecznie w drzwiach, odwróciłam się, żeby spojrzeć w rubinowe oczy lwów. Wystawiłam im język i pomachałam palcami przy uszach.

– Rrrauu!

A potem wymknęłam się na korytarz.

Anuszka czytała po drodze, marszcząc brwi nad kolejnymi zwrotami akcji w powieści. Podskakiwałam obok niej i robiłam kółka dookoła, i uśmiechałam się do siebie na wspomnienie mojej sekretnej przygody.